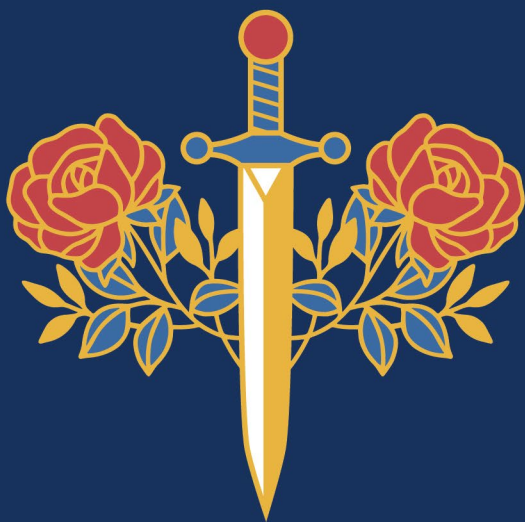


Walter Scott
ROB ROY



Rozdział I

*Nie mam już synów, tego nawet tracę,
Czymże zgrzeszyłem, jaką moja wina?
Jakimże temu przekleństwem odpłacę,
Kto tak odmienił, kto mi zepsuł syna?*

PAN TOMASZ

Tyle razy prosiłeś mnie, kochany przyjacielu, abym korzystając ze swobody, jakiej mi raczyła pod koniec życia udzielić Opatrzność, nakreślił obraz wydarzeń, które wyznały jego początek. Pamięć tych, jak je nazywasz, awantur pozostawiła w moim umyśle zarazem przyjemne i dotkliwe wrażenie; łączy się z nimi uczucie żywej wdzięczności i czci dla Istoty ważącej wszelkie ludzkie losy, której dobroczynna ręka powiodła mnie przez młodość wśród tylu przygód i niebezpieczeństw, jakby właśnie po to, bym umiał mocniej czuć i cenić spokój i szczęście, którymi obdarza mnie na starość.

Poświęcając drugiemu „ja” moje pamiętniki, odnoszę tę między innymi korzyść, że mogę opuścić wiele niepotrzebnych szczegółów, jakie musiałbym wyjaśniać ludziom zupełnie mi obcym, tobie zaś opowiem tylko te, które albo już były ci dokładnie znane, albo zatarły się w pamięci, a które przecież są niejako kamieniem węgielnym mojego losu.

Zapewne przypominasz sobie mojego ojca. Jako syn jego współnika znałeś go w swoim dzieciństwie, lecz znałeś też

wówczas, kiedy wiek i właściwa mu niedołążność nie pozwalały mu już oddawać się planom handlowym z tym zapalem, który stanowił główną cechę jego charakteru. Byłby może szczęśliwszy, chociaż mniej bogaty, gdyby zwrócił ku nauce tę niezmordowaną sprawność i bystrość umysłu, które poświęcił wyłącznie handlowi; rozumiem jednak, że nie tylko żądza bogactw przywiązuje doń śmiałych i przedsiębiorczych ludzi. Ten, kto się puszcza na to burzliwe morze, powinien połączyć zręczność z nieustraszonym męstwem żeglarza; a jednak i przy tych zaletach może zginąć, jeśli pomysłny powiew wiatru nie zaprowadzi go do portu. To połączenie koniecznej przeczności i nieuniknionego przypadku, ta przykra i ciągła niepewność, której stronie przypadnie zwycięstwo w walce ludzkiego przewidywania z wyrokami losu, nieustannie zajmując duszę, dają jej zarazem bodziec do rozwinięcia całej swej zdolności i władzy. Zatem słusznie można by powiedzieć, że handel przedstawia te same powaby co i gra, nie podlegając jednak moralnej klątwie, jaka sprawiedliwie ściga tych, którzy szukają tylko w grze losu.

W pierwszych latach osiemnastego wieku, kiedy kończyłem dwudziesty rok życia, nagły rozkaz mojego ojca odwołał mnie z Bordeaux do Londynu. Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania z nim. Wiesz, jak zwięźle i sucho wyrażał swoją wolę. Wydaje mi się, że mam jeszcze przed oczyma tę prostą postawę, prędkie i śmiały chód, żywe i przenikliwe spojrzenie, twarz, którą trudy zbyt wcześnie poorały zmarszczkami. Zdaje mi się, że słyszę głos, który nigdy nie wypowiedział pustego słowa, a niekiedy objawiał ostrość tłumiącą wszelkie łagodne i rzewne uczucia.

Zaledwie zsiadłem z konia, natychmiast pobiegłem do gabinetu mojego ojca. Przechadzał się tu i ówdzie; na jego zamyślanej twarzy nie zdołał sprawić najmniejszej zmiany nawet widok jedynego syna po czteroletnim niewidzeniu się.

Rzuciłem się w jego objęcia. Był to czuły ojciec, choć daleki od niepohamowanej słabości: łza zajaśniała w jego ciemnym oku, lecz tylko przez chwilę.

– Dubourg pisze mi, że był z ciebie zadowolony, Franku.

– Ciesz się mnie to.

– Tak, ale ja wcale nie mam powodu się cieszyć – rzekł, usiadłszy za stołem.

– Zasmucasz mnie, mój ojczu.

– Ciesz się, smuci to słowa, do których ja nie przywiązuję żadnego znaczenia. Oto twój ostatni list.

Wyciągnął ogromny stos papierów nawleczonych na czerwoną nitkę. Właśnie tam było moje nieszczęsne pismo na temat najbardziej mnie wówczas interesujący, zdolne przynajmniej poruszyć serce, jeżeli nie do końca przekonać rozsądek; tam, powtarzam, spoczywało, pośród niezliczonego mnóstwa listów i rachunków handlowych. Naprawdę trudno mi nie roześmiać się w duchu, kiedy sobie przypominam, jak moja próżność poczuła się dotknięta na widok tych tkliwych epistoł, które kosztowały mnie tyle pracy, wyciągniętych spomiędzy akwizycji, weksli, kwitów i tym podobnych szczegółów kupieckiej korespondencji.

Czy – pomyślałem sobie wtedy – list tak ważny (nie śmiałem dodać: „tak mądrze napisany”) nie zasługiwał na osobne miejsce? Czy godziło się mieszać go z tą handlową bazgraniną?

Ale mój ojciec w ogóle nie zauważył mojego smutku, a gdyby nawet go dostrzegł, pewnie niewiele by go to obeszło.

– Oto – mówił dalej, trzymając list w ręku – twoje pismo z dnia dwudziestego pierwszego zeszłego miesiąca. Przeczytajmy. Piszesz mi, że się spodziewasz, iż w sprawie tak ważnej, jaką jest wybór powołania, dobroć ojcowska pozwoli ci mieć głos przynajmniej przeczący, że czujesz w sobie nieprzezwyciężony wstręt... Tak, użyłeś tego słowa

„nieprzeczwyciężony” – jednak wołałbym, żebyś pisał nieco wyraźniej i żebyś się nauczył dobrze przekreślać, bardziej zaokrąglać – wstręt, powtarzam, nieprzeczwyciężony do spełnienia układu, który ci przedstawiłem. W dalszej części listu powtarzasz ciągle to samo i rozciągnąłeś na czterech stro-
nach to, co, zastanowiwszy się nieco, mogłeś wyrazić w czterech liniijkach... Bo, koniec końców, panie Franku, z całej twojej odezwy wynika, że twoja wola nie jest zgodna z moimi zamiarami i postanowieniami.

– Szanuję twoją wolę, mój ojciec, ale w tej okoliczności nie mogę...

– Słowa są dla mnie niczym, młokosie – rzekł mój ojciec, którego nieugiętość kryła się zawsze pod maską opanowania i spokoju. – *Nie mogę* jest być może grzeczniejsze niż *nie chcę*, ale oba te wyrażenia są jednoznaczne, jeżeli chodzi o moralne nieposłuszeństwo. Poza tym nie chcę, żebyś działał bez zastanowienia. Pomówimy jeszcze o tym po obiedzie. Owenie!

Wszedł Owen. Wówczas nie miał jeszcze tych białych włosów, które w twoich oczach nadawały mu tak szacowną postawę, bo liczył nie więcej niż pięćdziesiąt lat, ale miał ten sam orzechowy uniform, w którym go poznałeś, te same jedwabne popielate pończochy i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami, te same batystowe mankiety, odpowiednio pomarszczone i spadające aż do połowy dłoni, ilekroć bawił w gabinecie mojego ojca, lecz gdy był w kantorze, schowane ze wszelką ostrożnością pod rękawy fraka w celu uchronienia przed atramentem; w końcu tę samą postać, poważną, lecz pełną dobroci, która do ostatniej chwili życia przedstawiała pierwszego komisanta banku Osbaldystone i Tresham.

– Owenie – rzekł mój ojciec, kiedy zacny starzec uściśnął mi przyjaźnie rękę. – Zjemy dziś razem obiad. Usłyszysz nowiny o naszych przyjaciółach w Bordeaux, które przywiózł nam Frank.

Owen uczynił dość niezgrabny ukłon na znak pełnej uszanowania wdzięczności, gdyż w owej epoce, kiedy granicy oddzielającej rozmaite stany strzeżono z niezwykłą w dzisiejszych czasach ścisłością, zaproszenie pryncypała było wielkim zaszczytem dla komisanta.

Nigdy nie zapomnę tego obiadu: niepewny o mój przyszły los, obawiając się, abym nie został ofiarą osobistych korzyści mego ojca i całkowicie zajęty wynajdywaniem sposobów na zachowanie mojej wolności, nie mogąc prowadzić rozmowy tak aktywnie, jak tego żądał ojciec, nieraz dawałem mniej zadowalające odpowiedzi na pytania, którymi mnie zarzucał. Owen, pełen uszanowania dla ojca, ale równie przywiązany do syna, którego nieraz w dzieciństwie kołysał na kolanach, na wzór tego cichego sprzymierzeńca, co mimo bojaźni chętnie dopomógłby uciśnionej stronie, dokładał wszelkich starań, aby sprostować moje błędne odpowiedzi, wypełnić ich niedostatek i zabezpieczyć osaczonemu drogę ucieczki. Te jego zabiegi zwiększały jeszcze niechęć mego ojca, który jednym srogim spojrzeniem zamykał usta pocziwemu starcowi. Podczas mojego pobytu w domu pana Dubourga postępowanie moje nie było wprawdzie takie jak owego komisanta,

który, gdy go szalona choroba napada,
zamiast weksli i kwitów wiersze tylko składa,

jednak muszę wyznać, że tylko tyle przebywałem w kantorze, ile było konieczne, aby zasłużyć sobie na dobrą opinię Francuza, który od dawna utrzymywał kontakty z naszym domem i z polecenia mego ojca miał mnie zaznajomić z tajnikami handlu. Głównym moim zajęciem były literatura i sztuki piękne, a chociaż mój ojciec nie był wrogiem talentów i jego czysty rozsądek nie pozwalał mu wątpić, że są one źródłem przyjemności i ozdobą ludzkiego życia, przede

wszystkim żądał jednak, abym nie tylko odziedziczył po nim majątek, ale również tego ducha spekulacji, który mu dopomógł w jego zebraniu.

Mój ojciec wprost uwielbiał swoje stanowisko i to było prawdziwym powodem jego żądania, abym poświęcił się temu zawodowi. Równie biegły jak czynny, wyposażony przez naturę w płodną i śmiałą wyobraźnię, w każdym pomyślnie zakończonym przedsięwzięciu znajdował nowy bodziec do kolejnych działań, nową sprężynę do ich szczęśliwego wykonania. Nieumiarkowany w zwycięstwach, dodawał jedne laury do drugich, nie czekając, aż czas utrwali nowe zdobycze i pozwoli spokojnie ich używać. Przywykł spoglądać nieulęklým okiem na szalę Fortuny, na której ciągle zawieszał swoje skarby, miał mnóstwo sposobów na przechylenie jej na swoją stronę. W miarę rosnących niebezpieczeństw podwajał aktywność i męstwo. Słowem, był to prawdziwy obraz oswójonego z falą i z nieprzyjacielem żeglarza, którego zaufanie we własne siły nabywa nowej mocy na widok nadchodzącej burzy lub walki. Nieraz jednak przychodziło mu na myśl, że wiek i towarzyszące mu niedomagania wkrótce uczynią go niezdolnym do dalszej pracy i że spojrzenie w przyszłość doradza zawczasu wyszkolić zręcznego sternika, który ująłby umiejętną ręką opuszczony rudel okrętu i kierował nim według jego rad i przestróg. Chociaż ojciec twój był w spółce z moim i cały swój majątek umieścił w naszym domu, wiesz jednak, że nigdy nie chciał czynnie zajmować się handlem. Owen zaś, który dzięki swojej wierności i dogłębnej znajomości arytmetyki słusznie piastował funkcję pierwszego komisanta, nie miał ani tyłu wrodzonych zdolności, ani charakteru, żeby mógł mu być powierzony ster prowadzącego. Jeśli więc wyrokiem Opatrzności mój ojciec miałby nagle opuścić ten świat, co by się stało z tym mnóstwem rozpoczętych przedsięwzięć, gdyby jego potomek nie był w stanie dźwigać ciężaru interesów i jak

nowy handlowy Herkules wyręczyć zgrzybiałego Atlasa? A co by się stało z tym samym potomkiem, gdyby nagle znalazł się pośród labiryntu spekulacji bez zbawiennej nici, to znaczy bez znajomości, które mogłyby go stamtąd wyprowadzić? Z tych wszystkich powodów, wówczas znanych mi tylko częściowo, ojciec mój postanowił skłonić mnie, abym wybrał ten sam zawód, w którym on sam od dawna zaszczytnie pracował, a co raz postanowił, tego już nic w świecie nie mogło zmienić. Na nieszczęście ja również miałem nieco uporę, a moje zamiary zupełnie się nie zgadzały z nadziejami mego ojca.

Ta moja niesforność daje się jednak tym usprawiedliwić, że nie znałem głównej przyczyny takiej woli i nie czułem tego, jak bardzo moje posłuszeństwo było niezbędne dla szczęścia mego ojca. Uważając się za pewnego dziedzica znacznego majątku, nie mogłem nawet pomyśleć, aby dla jego utrzymania potrzebna była jakakolwiek praca czy też nabycie wiadomości niezwiązanych z moimi chęciami i skłonnościami. W zamiarze ojca upatrywałem jedynie żądzę pomnożenia bogactw, które zebrał, a będąc przekonany, że nikt lepiej ode mnie nie może decydować, jaką drogą mam trafić do szczęścia, wydawało mi się, że z własnej winy z niej zboczę, jeżeli będę się starał o powiększenie dóbr, które i bez tego, w moim rozumieniu, były już więcej niż wystarczające na wszelkie, nawet najbardziej wymyślne zachcianki.

Wspominałem już, że sprawy handlowe nie były moim jedynym zajęciem podczas pobytu w Bordeaux. Lekceważąc to, co mój ojciec uznawał za najważniejsze, byłbym może zupełnie zapomniał o handlu, gdybym nie obawiał się zniechęcić naszego korespondenta, pana Dubourga; choć on, odnosząc znaczne korzyści ze stosunków z domem mego ojca, zanedbał na uwadze własny interes, aby miał mu zanosić niepomysłne wieści o jego jedynym synu i przez to ściągać na siebie wymówki z obydwu stron. Pod względem obyczajów moje

postępowanie było nienaganne i zapewniając o tym mojego ojca, Dubourg oddawał mi tylko zasłużoną sprawiedliwość. Wydaje mi się jednak, że sprytny Francuz byłby tak samo po-błażliwy, gdyby nawet mógł obwiniać mnie o coś więcej niż tylko niedbałość w nauce o handlu. Tak czy inaczej, poprze-stając na tym, że codziennie widywał mnie przez parę godzin w kantorze, nie zabraniał mi poświęcać reszty czasu Muzom i pewnie nie miałby nic przeciwko, gdybym przedkładał Cor-neille'a i Boileau nad Sawarego i Pestlethwaita.

Ulubioną formułką, jaką pan Dubourg zwykł kończyć listy do swego korespondenta, było:

Syn wasz jest taki, jakim tylko widzieć go pragnie troskli-wość ojca.

Mój ojciec mniej zważał na te słowa: mogły być jak naj-częściej powtarzane, byleby dokładnie i jasno przedstawiały sytuację. Pod tym względem nawet sam Adisson nie potra-fiłby znaleźć przyjemniejszych dla niego wyrażeń jak te, których kupcy używają w swoim listownym, wiecznie jed-nostajnym stylu.

Chętniej wierząc w to, czego pragnął, pan Osbaldystone przestał w końcu powątpiewać w prawdę ulubionej formuły Dubourga i już cieszył się, że życzenia jego uwieńczy po-myślny skutek, gdy mój nieszczęsny list otworzył mu oczy i wyprowadził go z miłego błędu, przynosząc wymowne i uroczyste oświadczenie, że nie mogę zasiąść w ciemnym kantorze Crane Alley na śrubowanym stołku wyższym niż wszystkie inne oprócz trójnoga mego ojca.

Od tej chwili wszystko się zmieniło. Na Dubourga padło mocne podejrzenie zdrady, a jego listy straciły wiarygod-ność, jak gdyby przestał płacić w terminie. Mnie wezwano do Londynu, a przyjęto, jak już wyżej opowiedziałem.

Rozdział II

*Biedny młodzian, jeżeli poezja zawróci mu w głowie,
już nigdy nie wyjdzie na ludzi.*

BEN JONSON

Ojciec mój potrafił tak bardzo panować nad swymi emocjami, że rzadko kiedy wyrażał swoją niechęć słowami; tylko ton jego mowy stawał się nieco bardziej suchy i ostry niż zazwyczaj. Wszystkie jego czynności były systematyczne i jednostajne, a za główną zasadę miał zmierzać prosto do celu i nie tracić czasu na próżną gadaninę. Więc ze złośliwym uśmiechem słuchał moich roztargnionych odpowiedzi o stanie handlu we Francji, pozwalał mi błąkać się i zagłębiać coraz bardziej w tajnikach przemian cel i taryf i ani razu nie przyszedł mi z pomocą, lecz gdy tylko dostrzegł, że nie potrafiłem wytłumaczyć wpływu, jaki miało obniżenie ceny luidorów na sprawy bankowe, nie mógł dłużej wytrzymać i zimna krew opuściła go.

– Jak to, najważniejszy wypadek, jak tylko mogę sięgnąć pamięcią! – zawołał mój ojciec (a przecież był świadkiem rewolucji, która posadziła na tronie władców z domu hano-werskiego). – Najważniejszy wypadek, a jegomość stoi osłupiały, pląta się, jakby o niczym nie wiedział!

– Pan Frank – bojaźliwie odezwał się Owen – na pewno sobie przypomniał, że dekretem króla francuskiego z dnia

pierwszego marca tysiąc siedemsetnego roku postanowiono, że dziesięć dni po upływie terminu...

– Pan Frank – przerwał mój ojciec – na pewno przypominasz sobie wszystko, co mu tylko opowiesz. Lecz, na mój honor, jak Dubourg mógł pozwolić!... Powiedz mi, Owene, czy jesteś zadowolony z jego bratanka Klemensa Dubourga, który od dawna pracuje w moim kantorze?

– Jest to młodzieniec o naprawdę niepospolitych zdolnościach – odpowiedział Owen, rzeczywiście ujęty sprytem młodego Francuza.

– Tak, tak, z pewnością zna się nieźle na sprawach bankowych. Dubourg wiedział, jak wszystko urządzić, żeby mieć wiadomości o wszystkim, co się u mnie dzieje. Ale pokażę mu, że przeniknąłem jego sztuczki. Owene! Zapłacisz Klemensowi za bieżący kwartał i powiesz mu, że jutro może sobie wyruszać do Bordeaux na okręcie swego stryja.

– Jak to? Pan chce odprawić Klemensa Dubourga? – zapytał Owen drżącym głosem.

– Tak jest; i to natychmiast. Czy nie wystarczy mi ten nieumiejący Anglik, którego nazywam swoim synem? Czy mam pozwolić przebywać razem z nim przebiegłemu Francuzowi, który będzie wyciągał korzyści z jego błędów?

Nawet gdyby umiłowanie sprawiedliwości nie było zaszczone w moim sercu od dzieciennych lat, dość długi pobyt na ziemi *Wielkiego monarchy* umocnił we mnie nieprzewyciężony wstręt do wszelkich aktów przemocy. Usiłowałem więc wstawić się za niewinnym młodzieńcem i uwolnić go od kary, którą miał ponieść jedynie za to, że był więcej niż ja wykształcony w dziedzinie handlu.

– Kochany ojciec – odezwałem się, gdy ten tylko przerwał. – Zdaje mi się, że za moją opieszałość tylko ja sam powinienem odpowiadać. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby ktoś musiał za mnie ponosić niezasłużoną karę. Nie mogę

zaprzeczyć, że pan Dubourg dawał mi wszelką sposobność nabycia potrzebnych wiadomości, lecz wyznaję, że nie umiałem z tego skorzystać. Co do pana Klemensa Dubourga...

– Co do niego, to i do ciebie – przerwał mój ojciec. – Wiem, jak mam postąpić. To dobrze, mój Franku, że chcesz całą winę wziąć na siebie, to bardzo dobrze i oddaję ci sprawiedliwość. Ale nie mogę przebaczyć staremu Dubourgowi – dodał, spoglądając na Owena – że dając ci okazję doskonalenia się w użytecznej nauce, nie doniósł ojcu, iż syn nie poczynił żadnych postępów.

– Pan Frank – rzekł stary sługa, pochylając nieco głowę, a nieznacznie unosząc rękę, jak gdyby według zwyczaju chciał założyć pióro za ucho – pan Frank doskonale zna tę główną zasadę moralnego rachunku, wielką „regulę trzech”: Niech A będzie tym dla B , czym chce, żeby B było dla niego, a wypadek będzie prawidłem, jak ma samo postąpić.

Ojciec mój nie mógł się nie roześmiać, widząc najpiękniejszą zasadę moralności podciągniętą pod algebraiczną formułę, lecz wkrótce przybrał poważną postawę, a zwracając się ku mnie, rzekł:

– Niedobrze, panie Franku! Zmarnowałeś twój czas jak nierozsądne dziecko. Trzeba, żebyś teraz żył jak człowiek. Owen będzie twoim przewodnikiem w handlowych poczynaniach. Spodziewam się, że jego nauka przyniesie ci większą korzyść.

Już miałem odpowiedzieć, lecz Owen rzucił na mnie tak wymowne i pokorne spojrzenie, że mimowolnie zamilkłem.

– Ale dość już o tym – mówił dalej mój ojciec. – Wracam do mojego listu z dnia pierwszego zeszłego miesiąca, na który dałeś równie obraźliwą i nierozsądną odpowiedź; ale najpierw nalej sobie wina i podaj butelkę Owenowi.

– Bardzo to dla mnie przykre – odpowiedziałem bez wahania – że moja odpowiedź, która była owocem głębokiej

rozwagi, tak obraziła mego ojca. Ale zaręczam, że z prawdziwym smutkiem uznałem niemożliwość przyjęcia jego propozycji.

Ojciec mój, spojrzawszy na mnie srogo, natychmiast odwrócił gdzie indziej wzrok. Korzystając z milczenia, mówiłem dalej, chociaż już nieco mniej pewnym tonem, a ojciec niekiedy mi przerywał, rzucając krótkie docinki.

– Żadnego stanu – rzekłem – nie považam bardziej niż kupiecki, tym bardziej że jest stanem mego ojca.

– To widać!

– Dobrze rozumiem, że handel jednoczy narody, ożywia przemysł, rozlewa swoje dary na całej ziemi i jest tym dla ogólnego dobra świata, czym powietrze i pożywienie dla żyjących istot.

– Cóż dalej?

– Mimo tego jednak, mój ojcze, niemożliwe jest dla mnie poświęcenie się zawodowi, do którego nie czuję żadnego powołania.

– Postaram się, abyś go nabył. Nie jesteś już uczniem Dubourga.

– Ale, kochany ojcze, ja nie narzekam na brak możliwości uczenia się, lecz jedynie na brak zdolności do handlu.

– Bajki! Czy pisałeś dziennik, jak ci poleciłem?

– Pisałem, mój ojcze.

– Proszę mi pokazać.

Książka, której żądał mój ojciec, był to ogólny notatnik utrzymywany na jego rozkaz, w którym polecił mi notować wszystko, co uznaję za przydatne podczas mojej nauki. Przewidując, że po moim powrocie zechce go zobaczyć, starałem się zamieścić w nim jak najwięcej artykułów handlowych, wiedziałem bowiem, że notatki tego rodzaju najbardziej podobają się mojemu ojcu. Lecz często pióro, nie radząc się głowy, a znajdując księgę pod ręką, gryzmoliło

wspomnienia zupełnie mijające się z jej celem. Prosiłem więc Niebo, aby przeglądając strony, które rad nierad musiałem mu przynieść, nie natrafił na artykuły, które jeszcze bardziej rozjątrzyłyby jego gniew.

Twarz Owena, na której pytanie mojego ojca z początku wzniciło wyraz obawy, wróciła do zwykłego stanu, kiedy usłyszał zapewniającą odpowiedź z mojej strony. Wkrótce zabłysnął na niej promyk nadziei, gdy ujrzał w moim ręku wolumin całkiem podobny do tych, jakich używa się w handlu. Format jego bardziej szeroki niż długi, miedziane spinki, gruba skórzana oprawa – wszystkie te powierzchowne oznaki uspokajały mojego przyjaciela co do wewnętrznych zalet, a na jego obliczu zajaśniała w całym blasku radość, kiedy mój ojciec rozpoczął czytanie, robiąc przy tym własne uwagi.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



OPOWIEŚĆ O MROCZNYCH ZAKĄTKACH XVIII-WIECZNEJ SZKOCJI

Świetnie wykształcony Frank –
wbrew woli ojca – pragnie poświęcić się
literaturze i sztuce. Z tego powodu zostaje
wysłany do zamku szkockich krewnych
Osbaldestone'ów. Na wygnaniu jedyną bliską
mu osobą staje się tajemnicza Diana Vernon.
Kiedy do zamku powraca właściciel, sprawy się
komplikują, a na drodze Franka i Diany
staje szkocki buntownik Rob Roy.



bukowylas.pl

Cena: 54,90 zł